

— To brzmi bardzo ładnie. Pan jest poetą, Mr. Mason.

— Lubię poezję.

— A poeci kochają kwiaty, nieprawdaż?

— I ja kocham kwiaty.

— A może wiesz pan coś o tem? — wydo-
była małą, zeschłą gałązkę z kwiatami i pokazała
mu ją, wpatrując się w niego badawczo.

Wziął kwiat i przycisnął go do ust.

— Wiem, że spoczywał na twojej piersi. Za-
droszczę mu — rzekł.

— Dobry wieczór, Mr. Mason! — Był to
Mr. Foster, który wyszedł na ich spotkanie. —
Gdzie jest Mr.?... Oh-ah! Tak, rozumiem. Herbata
czeka na stole, proszę wejść, nim wystygnie.

Kiedy Eliazs Mason opuszczał tej nocy folwark,
rzekł u drzwi z cicha do Dolly:

— Nie mogę przyjść przed sobotą.

— Będzie pan mile widziany, Mr. Mason.

— Poproszę wówczas o odpowiedź.

— Oh, pan wie, że nie mogę nic obiecywać.

— Wolno mi jednak cieszyć się nadzieją.

— Tego panu nikt nie może zabronić.

Uprzytomniła już sobie, jaką władzę nad nim
posiada i nabrawszy z tą chwilą odwagi, mogła
odpowiedzieć mu prawie tak swobodnie, jakby był
Adamem Wilson.

Zatrzymała się w drzwiach oparta o drewnianą
futrę, bawiąc się długimi wstęgami kaprifolium,
które obejmowały jej smukłą, zgrabną figurę.

Wielki czerwony krąg słońca stał nisko na
zachodzie, wyglądając górnym swoim brzegiem
z poza małych pagórków i rzucając na pola dłu-
gie, ponure cienie jesionów, płowych krów, zebranych
w niewielkie stada i człowieka, który się od
niej oddalał. Rozśmieszył ją widok olbrzymich nóg
i cienkiego tułowia płaskiego wielkoluda, który
szedł za nim krok za krokiem. W małym ogródku
nawprost nie brzęczały pszczoły, zpóźniony motyl
a może wczesna cma przelatywała zwolna ponad
grządkami kwiatów, tysiące małych stworzeń bzy-
kało i ćwierkało, wszystkie pracujące nad swoją
przyszłością, równie jak i ona i wszystkie bez-
sprzecznie przekonane, że od istnienia ich zależy
los świata. Kilka miesięcy dla komara, kilka lat
dla dziewczyny, ale jedno i drugie było teraz
szczęśliwe w dusznym letnim powietrzu. Pszczoła
mozoliła się na wysypianej piaskiem ścięcie, usi-
lując wlecieć do góry; pracowała ciężko sześcioma
nóżkami, obijając się o kamienie i przewracając
się na przeszkodach, ale powstawała ciągle i zdą-
żała niezmordowanie do jakiegoś ważnego celu
na kępie murawy. Z poza jesionu wyleciał nieto-
perz. Podmuchał wieczorowego wietrzyka przyniósł
od strony wzgórz nieco chłodnego powietrza z nad
morza. Ciałem Dolly Foster wstrząsnął dreszcz.
Chciała wejść do środka, kiedy w korytarzu zja-
wiła się jej matka.

— Cóż tam, u diabła, robi Bill? — zawołała.

Dolly spojrzała w tę stronę i ujrzała dopiero
teraz, że bezimienny parobek leży pod jesionem nie-
widoczny prawie na tle brunatno-żółtego pnia
drzewnego.

— Chodź tu, Bill! — wrzasnęła żona gospo-
darza.

— Co mam robić? — zapytał pokornie, pod-
chodząc zwolna ku niej.

— Przynieś ze stodoły trochę siana!

Skinął głową i odszedł, powłócząc nogami,
komiczna postać w butach pokrytych zeschłym
błotem, pasiastych spodniach kordowych i cerze
koloru migdału.

— A zatem wybrałaś Eljasza — rzekła matka,
obejmując córkę w pól. — Widziałam, że całował
kwiat, któryś mu dała. Ano, żał mi Adama, gdyż
to bardzo ładny chłopak, porządny chłopak i z pie-
niądźmi. Ale ktoś musi cierpieć, inaczej nigdy nie
osiągnąłby doskonałości. Mleko nigdy samo nie
przemieni się w masło. Trzeba nad tem popraco-
wać, namęczyć się i namozolić. Tego i nam potrzeba,
aby się kiedyś dostać do nieba. Rzecz to podobna
jak z masłem.

Dolly roześmiała się.

— Jeszcze nie wybrałam Eljasza — rzekła.

— Nie? A zatem co z Adamem?

— I jego również nie przyjąłem.

— Oh, Dolly, dziecko moje, pamiętaj co ci
mówią starsi. Ostrzegam cię drugi raz, że możesz
utracić obu.

— Nie, nie, matko. Nie martw się o to. Wszystko
będzie dobrze! Ale to rzecz trudna. Lubię Eljasza,
gdyż umie tak ładnie mówić i jest taki pewny
siebie, taki rozkazujący. I lubię Adama, — no, lubię
go, gdyż wiem dobrze, że mnie kocha.

— Ależ, moja droga, nie możesz poślubić ich
obu naraz. Chciałabyś mieć wszystkie gruszki
z koszyka.

— Nie, mam, chcę tylko dobrze wybrać. Czy
wiesz ten kwiatek, najdroższa?

— To zwyczajna dzika róża.

— Jak sądzisz, gdzie ją znalazłam?

— W ogrodzie.

— Nie, na moim oknie.

— Oh, ale kiedy?

— Dziś rano. Wstałam o szóstej i znalazłam
ją tam, świeżą, słodką, dopiero co zerwaną. Tak
było wczoraj i pozawczoraj. Leży tam każdego
poranka. To pospolity kwiat, jak twierdzisz mam,
ale niepospolita to rzecz znaleźć mężczyznę, który
wyrzeka się codziennie snu tylko po to, aby oka-
zać dziewczynie, że o niej myśli.

— I któryż to z nich?

— Oh, gdybym wiedziała! Sądzę, że to Eliazs.
Jest poetą, wie mama, a poeci lubią czasem czynić
coś ładnego.

— Jakże się przekonasz?

— Dowiem się przed świtem. Ktokolwiek to
jest, jeszcze powróci. I ktokolwiek jest, wybiorę
go za męża. Czy ojciec postępował tak wobec
ciebie, zanimżeście się pobrali?

— Nie, tego nie mogę powiedzieć, kochanie.
Ale twój ojciec zawsze lubiał spać.

— Nie martw się zatem o mnie mam, gdyż
tak pewnie, jak to, że tu stoję, powiem ci jutro
któryto był.

Tego wieczoru córka gospodarza zabrała się
do robienia porządków tak koniecznych w każdym
większym domostwie. Oczyszczyła czarne, staroświec-
kie meble w izbie. Opróżniła piwnicę, pochowała
do szafy naczynie, obliczyła ilość wina, zrobiła
wielki kocioł soku agrestowego, przegotowała go,
przecedziła i zaopatrzyła w etykiety. Wszyscy do-
mownicy poszli już dawno spać, a ona przeciągała
rozmyślnie robotę do późnej nocy aż wreszcie
ogarnęła ją senność i zmęczenie. Wtedy zapaliła
na kuchni ogień i zaparzyła sobie filiżankę herbaty
a zaniósłszy ją do swego pokoiku usiadła nad
starym tomem „Wolnych chwil“, popijając gorący
napój. Krzesło jej stało poza zasłaniającymi okno
wielkimi firankami barchanowymi, skąd mogła
wszystko widzieć, sama nie będąc widzianą.

Zaczęło świtać i razem z brzaskiem zerwał się
orzeźwiający wietrzyk. Na bladym, słabo się za-
znaczającym błękitnie niebos ciągnęły pędzone wia-
trem białe chmurki, dzieląc się lub łącząc razem,
upadając jedna na drugą ale zmierzając wciąż od
różowego wschodu ku pogrążonemu jeszcze w cie-
niu zachodowi. Na dworze wiatr świszczął i wył,
przerazliwym, donośnym głosem, przechodząc od
jęków do krzyków a potem znów do cichego
szmeru i postękiwania. Dolly wstała, aby się okryć
szalem, a kiedy usiadła znowu w jednej chwili
wątpliwości jej zniknęły i ujrzała to, na co czekała.

Okno jej wychodziło na podwórze i znajdowało
się około osiem stóp ponad ziemią. Człowiek sto-
jący pod nim nie mógł być widziany z góry. Ale
to, co ujrzała wystarczyło jej najzupełniej. Cicho,
niespodziewanie zjawiła się od dołu ręka, która
zniknęła, złożywszy na oknie gałązkę z kwiatami.
Nie trwało to nawet dwóch sekund, ale rękę wi-
działa wyraźnie i to jej wystarczyło. Z uśmiechem
rzuciła się na łóżko. przykryła kocem i zapadła
w głęboki sen.

Obudziła ją matka, dotykając ramienia.

— Czas na śniadanie, Dolly; przyniosłam ci
trochę kawy i chleba, gdyż przypuszczałam, że bę-
dziesz zmęczona. Usiądź, kochanie i pij.

— Dobrze, mam. Dziękuję. Jestem ubrana tak,
że mogę zaraz zejść na dół.

— Doprawdy, ta dziewczyna nigdy się nie
rozbiera. Ale popatrz, rzeczywiście, tam na oknie
leży kwiat. Widziałas kto go tam położył?

— Tak jest, widziałam.

— Któż to taki?

— To Adam.

— Czy być może? Nigdybym tego nie pomyślała.
A zatem niech będzie Adam. Porządny z niego chło-
pak, a to siedemdziesiąt siedem razy lepsze, niż
rozum. Czy przyszedł przez podwórze?

— Nie, wzdłuż ściany.

— Gdzież go zatem mogłaś widzieć?

— Nie widziałam go.

— Wszak mówiłaś?

— Widziałam jego rękę.

— A czy znasz rękę Adama?

— Trzeba by nie mieć oczu, aby nie odróżnić
ją od ręki Eljasza. Jedna jest brunatna jak kawa,
a druga biała, jak filiżanka, z przeświecającymi
wielkimi, niebieskimi żyłami.

— Prawda, nie pomyślałam o tem. Będziemy
mieli ładny dzień, Dolly. Posłuchaj jaki wiatr!

Zmienił się on w istocie w ciągu tych kilku
godzin od świtu w gwałtowny huragan. Szyby
w oknach drżały i brzęczały. Na dworze widziała
Dolly wirujące koło okiennic liście kapusty i słomę.

— Wielki stóg siana wali się. Próbuja go
podeprzeć. Ależ to wiele!

Była to prawda. Kiedy Dolly zeszła na dół,

z trudnością przyszło jej przecisnąć się przez
korytarz. Tuż nad widnokresem niebo było koloru
ziemno-żółtego, lecz w górze wył i hulał wichur,
a postrzępione, pędzące szybko chmury to zbiera-
ły się razem, to znów rozdzielały na szeregi nie-
regularnych wstęg. Na polu, w pobliżu domu pra-
cował w pocie czoła ojciec jej i trzech czy czte-
rech robotników, bez kapelusza z rozwidrzoną
brodą i czupryną, umacniając przy pomocy słupa
i sznurów chylący się do upadku wielki stóg siana.
Dolly przyglądała im się przez chwilę a potem
z pochyloną głową i stulonymi ramionami, przy-
trzymując jedną ręką swój mały, czarny kapelusz
słomkowy, ruszyła wprost przez pola.

Adam Wilson pracował stale w jednym i tem
samem miejscu na wzgórzu i tam skierowała swe
kroki. Zobaczyła z daleka jej ładną, zgrabną postać,
z trzepocącą się na wietrze sukienką i wstążkami
kapelusza i wyszedł naprzeciw niej z wielkim,
białym kilofem w ręku. Siedział jednak powoli,
z opuszczonymi oczyma i miną człowieka, który
się jeszcze gniewa.

— Dzień dobry, miss Foster.

— Dzień dobry, Mr. Wilson. Ah, jeśli się
jeszcze na mnie dąsasz, zawrócę do domu. Chcia-
łam powiedzieć — chciałam powiedzieć, że żałuję,
że sprawiłam ci wczoraj przykrość. Nie miałam
zamiaru żartować. Naprawdę, nie żartowałam. Mam
tylko taki sposób mówienia. Było to bardzo ładnie,
bardzo szlachetnie z twojej strony, żeś się na mnie
nie obraził.

— Niezupełnie, Dolly. — Był znów rozpromie-
niony. — Gdybym cię tak nie kochał, nie obcho-
dziłoby mnie co mówisz lub co czyni tamten człowiek.
I gdybym mógł tylko pomyśleć, że dbasz o mnie
więcej, niż o niego.

— Dbam więcej o ciebie, Adamie!

— Niech cię Bóg błogosławi za te słowa. Ka-
mien spadł mi z serca, Dolly. Wyjeżdżam dziś
w interesach firmy do Portsmouth. Jutro wieczór
powrócę i zobaczę się z tobą.

— Dobrze, Adamie, ja... oh, mój Boże, co to
takiego? Potężny nagły trząst w odeali, głuchy
grzmot i przeraźliwe okrzyki i wołanie.

— Stóg siana się zawalił. Nieszczęśliwy wy-
padek! Zbiegli razem z parówka.

— Ojciec! — jęknęła dziewczyna — ojciec.

— Nic mu się nie stało, — krzyknął jej to-
warzysz — widzę go. Ale ktoś leży na ziemi. Pod-
noszą go teraz. I ktoś pędzi jak szalony po lekarza.

Jeden z robotników folwarczych biegł co sił
stało ścieżką.

— Nie chodź tam, panienko — zawołał. —
Jeden z ludzi jest zraniony.

— Kto taki?

— To Bill. Stóg się zawalił i belka uderzyła
go w krzyż. Zdaje mi się, że nie żyje. W każdym
razie nie będzie żył długo. Pędzę po doktora
Straga. Zgiął się pod wiatrem i pobiegł dalej
przez gościniec.

— Biedny Bill! dzięki Bogu, że to nie ojciec. —
Weszli na pole, na którym zdarzył się nieszczęśliwy
wypadek. Stóg leżał tworząc na ziemi bezkształtny
kopiec, a z niego sterczał długi, gruby słup, na
którym pierwsi wspierał się dach, mający uchronić
siano przed deszczem. Czterech ludzi, z jednym
ramieniem obciążonym, drugim swobodnie zwi-
sającym, dźwigało jakiś bezkształtny tłumok ko-
loru gliny. Mógł być rzeczywiście bryłą ziemi którą
obrabiał, biernym, milczącym, wciąż jeszcze bru-
natnym gdyż nawet śmierć nie mogła zmienić jego
opalonej skóry, ale spokojnie, cielece oczy spoglą-
dały bystro z pod wólpoprzymkniętych powiek.
Oddychał ciężko, ale nie krzyczał i nie jęczał. Było
coś nieledwie brutalnego i nieludzkiego w jego
zupełnej obojętności. Nie prosił o współczucie,
gdyż nigdy go w życiu nie zaznał. Robił wrażenie
raczej zepsutego narzędzia niż zranionego człowieka.

— Czy mogę być w czemś pomocną, ojciec?

— Nie, dziecko, nie. To miejsce nie dla ciebie.
Posłałem już po doktora. Zaraz przybędzie.

— Ale gdzie go zawiozę?

— Do stajni, gdzie śpi zawsze.

— Możeby go przewieźć do mego pokoiku,
ojciec.

— Nie, dziecko. Nie kłopotaj się o to.

Szczupły orszak mijał ich, kiedy mówili i zra-
niony chłopak usłyszał słowa dziewczęcia.

— Dziękuję ci, miss — szepnął z pewnem
ożywieniem, a potem powrócił znów do właściwego
sobie spokoju i milczenia.

— — — — —

Ręce roboocze na folwarku, to rzecz użyteczna,
ale na cóż przyda się człowiek, który ma zgru-
cholany kręgosłup i połowę żeber złamanych. Gos-
podarz Foster wstrząsał głową i drapał się po
brodzie, słuchając słów lekarza.

— Nie może przyjść do siebie?

— Nie.